

Ranny askar

i jego mały brat, Hachgu

Kolonja dziennikarska w Galliano stała się jakby szkołą małych chłopaków usługujących. W tukule tubylczej wioski każda matka marzy o tem. aby posłać syna do Galliano: 150 czy 200 lirów to coś znaczy dla mieszkańców tukulu, a jeżeli ta suma zjawia się regularnie co miesiąc — staje się czemś wspaniałym i ogromnie pożądanym. Jest to poważna sumka także i dla tego, który ją wydaje, ale inaczej trzeba by zrezygnować z obsługi. Wśród dorastających tubylców trudno o chłopaka. — Jeśli miał 15 lat już w wojsku, albo zaraz do wojska pójdziesz. Trzeba się zadowolić dzieckiem 10 — 12 letnim, które płacze się pod nogami, wymaga często pobłażania, a niekiedy i opieki. Mój mały 12-letni służący nazywa się Maxn Hachgu, przychodzi i odchodzi kiedy mu się podoba, obraca w perzynę wszystko, czego dotknie, ale cudownie robi czarną kawę, jest urwisowaty, niegłupi i ujmujący. Dogadza mi, i właśnie parę dni temu podwyższył mi pensję.

Oto z jakiego powodu. Od kilku dni Hachgu stał się niebywale posępny. Jego przyjaciel i rówieśnik, służący moich kolegów, Asfaan przybiegł pewnego ranka promieniejąc, i gestykulując, nadzwyczaj wymownie oświadczył całej „kolonii” że jego brat Gabresellasse, askar, który walczył jeszcze w Libji, został ranny w Tembien, poza wawozem Uariu. Matka płakała w swoim tukule, ale Asfaan puszył się z dumy i szczęścia, opowiadając szczegóły bitwy, jakby był jej naocznym świadkiem. W milczeniu na uboczu patrzył na niego mój Hachgu z blyszczącymi oczami i zaciśniętymi ustami. Nie trzeba znać psychologii, żeby się domyśleć, jak bardzo uprzywilejowanie Asfaana ponizowało go i robiło mu przykrość. Także i Hachgu miał brata askara, walczącego nad Takasse, a fakt, że mówiło się tylko o bracie Asfaana przynajmniej go poprostu. Między przyjaciółmi powstała przepaść, nie wracali już razem do domu, a Hachgu był zasepiony i gorzki. Miałem już tego dość. Brakowało tylko jakichś kwasów w naszym wygodnym i miłym mieszkaniu! Zawolałem Hachgu.

HUMOR

MUZYKALNY PORTJER

— Czy tu mieszka kompozytor Dupont.
— Tak.
— Na pierwszym piętrze?
— Nie, o oktawę wyżej!
(Le Rire)

— Postanowiłem dodać ci 25 lirów miesięcznie....
— Dobrze!
— Jesteś zadowolony?
— Tak!
— Ale to nie wszystko: jak będziesz mi tu dalej stroił jakieś dąsy, wezmę do służby Asfaa.
— Nazajutrz stało się coś dziwnego, Hachgu wbiegł do mnie śpijąc i podrygając.
— Co się stało?
— Mój brat jest ranny!
— Ciężko? zapytałem.
— Nie wiem! Jest w szpitalu dla tubylców. Może twoje auto... szpital jest daleko...
— Nie namyślając się wiele pojechaliśmy autem do szpitala; znajdując się on o 6 czy 7 km. od Asmary, na drodze do Aduy. Zajmujemy całą małą dolinę i prawie codziennie przybywa mu jakiś pawilon czy przybudówka. Istnieje projekt, żeby po wojnie tutaj założyć Uniwersytet dla patologii kolonialnej.

Narazie znajdują się tu askary chorzy lub ranni. Kostnica służy za składy, gdyż niema tu śmiertelnych wypadków. Statystyka do dzisiejszego dnia: rannych — 1000; umarłych — zero. Wytlómaczenie tych cyfr można by znaleźć w fenomenalnie odpornym organizmie tubylców; (istnieją wypadki, mające w sobie coś zgoła magicznego); Wiele jednak zawdzięcza się organizacji placówek sanitarnych, i to nie tylko ich urządzeniu, ale szybkości w niesieniu pomocy i przewożeniu z placu walki do szpitali.
— Czy ciężko ranny? pytam lekarza.
— Nie. Uderzenie w nogę i brzydka, ale nie niebezpieczna rana w szyi. Za zezwoleniem doktora wadliśmy się w rozmowę z rannym. Mówił nieźle po włosku i opowiadał z przejęciem, samemu czasownikami w bezkolektywniku, przeżył owego pamiętnego dnia.

My stać na małym wzgórzu, Abisyńczycy na dużym. Artylerja dać ognia, a my z Czarnymi Koszulami, skoczyć na nich. Och, Czarne Koszule!
— Czy dużo było Abisyńczyków?
— Ost!
— Co on mówi?
— Bardzo dużo! — I ranny z uśmiechem przyknął oczy, jakby się chciał w duchu deklaktować obrazami widzianymi.

— Jak zostałeś ranny?
— Ja strzelać z kulomiotu do Abisyńczyków, za skałami. Nagle, ja uczuć, że coś mnie złapać za szyję i uderzyć w nogę. To żołnierz nieprzyjacielski. Wtedy ja rzucić się zębami i rękami na żołnierza, i spaść z nim po stoku góry. Jak długo tak zostać, ja

nie wiedzieć. Potem ja zobaczyć, że w ramionach trzymać martwego...

— Kto go zabił?
— Nie wiedzieć. Pewno Czarna Koszula. Ale ja uderzyć wtedy głową i nie wiedzieć, co dalej.
— Jak byli ubrani nieprzyjacieli? W szamma czy w mundurach?
— Na przedzie same szamma — z tyłu mundury khaki.
— A jaką mieli broń?
— Wszystkie bronie. Karabiny, karabiny maszynowe, szable, noże, pałki.

Czy Pan widzieć moją pałkę?
„Moją”, t. zn. tę, którą został mu zadany cios w nogę. Dostał ją w prezencie doktor, gdyż ranny przyniósł ją aż do szpitala. Ogładam ją. Ma kształt maczugi, ale trzy kanty jej są zaostrome, jak

stał. Lekka w uchwycie, musi zadawać śmiertelne ciosy.

— A kto cię ranił w szyję?
— Nie wiem.

Doktor powiada, że jest to rana od kuli karabinowej. Prawdopodobnie askar był już ranny kiedy otrzymał cios w nogę; nie spostrzegł rany, i obsługiwał dalej kulomiot.

— Dzielnie się spisałeś, mówi doktor, ale teraz wypoczywaj i śpij. Jak wszystko dobrze pójdzie, za jakie dwadzieścia dni będziesz mógł wracać do Tembien... a może i dalej...

— Dziękuję — powiada cicho Askar, podnosząc z trudnością rękę.

Dopiero teraz Hachgu, pochyla się, by ucałować brata-żołnierza. Na poduszce rannego zostaje kilka lez...

S. R.

Dlaczego marynarze angielscy

ciągnęli trumnę króla Anglii

Pogrzeb zmarłego króla Jerzego V wykazał, jak dalece ceremoniał pogrzebu królewskiego jest związany z wiekową tradycją. Nikt nie ma już najmniejszej wątpliwości, że od kilkuset lat obowiązująca i pielęgnowana tradycja uczczenia należycie majestatu śmierci królewskiej, na każdym kroku swe piętno wywierała. Lecz mało kto wie, że w tej tradycji zrobiono jeden poważny wyłom. Fakt bowiem, że trumna królewska, spoczywająca na lawecie armatniej była ciągnięta przez marynarzy, a nie przez konie i że zastosowano ten zwyczaj właśnie po raz pierwszy, przewidując go oficjalnie w ceremoniale podczas pogrzebu zmarłego króla.

Podobny wypadek miał już miejsce, lecz był on wynikiem przypadku, a raczej wypadku. Było to w r. 1901 podczas pogrzebu królowej Wiktorji. Pociąg, który zwozi królowę wioził z Londynu, spóźnił się. Obok dworca oczekiwało trumnę 6 par koni, zaprzężonych w lawetę. Konie te, oczekując długo na pociąg, zmarzyły. Gdy wreszcie trumna przybyła i kondukt miał ruszyć, pierwsza para koni potknęła się i upadła, powodując wywrócenie wszystkich par.

Nie stracił przytomności dowódca oddziału honorowego marynarzy i dał nast. rozkaz: All right, my boys, w tej chwili wyrównamy to niepowodzenie. Od zarządcy stacji kolejowej zażądał liny drucianej, którą kazał przywiązać do lawety, a jego oddział marynarzy ciągnął trumnę od stacji do

katedry. Marynarze trzymali krok równomiernie, tak, jakby byli wyćwiczeni, ponieważ maszerowali w takt grającej orkiestry.

W ten sposób poraz pierwszy w dziejach zmarły król angielski był przez marynarzy ciągnięty na miejsce wiecznego spoczynku.

„Sokoli” — podawajcie adresy

władzom sokolskim w Warszawie

Pragnę nawiązać stosunki z członkami naszej organizacji, którzy dla rozmaitych powodów udziału w pracy oddawna już nie raz brać nie mogą, zwracamy się do wszystkich nieczynnych członków „Sokoła” ze wszystkich byłych zaborów, przebywających w Warszawie i najbliższej okolicy o podanie adresu, listownie lub telefonicznie, na ręce prezesa O. Fregu Warszawskiego M. Dubowskiego w Warszawie, ul. Ogrodowa 19 m. 5 lub telef. 657.05 od godz. 14-jej (2-giej po południu).

Nie wątpimy, że nasz apel trafi do serc druhen i druhow naszych w myśl zasady, że kto raz zakosztował pracy sokolej, ten za pominięciem o Sokole nie może, nie potrafi.

Sokolstwo przed wojną było bu dzielem i zbiornikiem sił narodowych; przyswierała mu myśl wychowania zdrowych fizycznie i moralnie obywateli, dobrych Polaków, dążących do odzyskania wolności. Przy niemałym udziale naszym wolność państwa już osiągnięta, ale nie zakończyła się nasza praca, a do niej obok czynnych pracowników potrzeba nam szerokich kół przyjaciół.

Któż do nich przedewszystkiem zaliczonym być powinien, jak nie ci, co sami kiedyś pracowali z nami? Ich rady i pomoc są nam potrzebne, Sokolstwo Polskie bowiem, jak dawniej, tak i obecnie kontynuuje swą pracę nad wychowaniem narodem najszerszych warstw społeczeństwa polskiego, oraz kształceniem ich fizycznie i przysposobieniem wojskowem — dziś, przy jaknajściślejszym współdziałaniu z armją narodową celem zapewnienia bezpieczeństwa i całości Rzeczypospolitej.

Do nas więc, druhen i druhow! Podawajcie adresy!

Do rychłego zobaczenia się na zebraniu, które da poznać nowych, a przypomnieć sobie starych przyjaciół!

Czołem!

Za zarząd Okręgu Warszawskiego Towarzystw Gimnastycznych „Sokoła”

Prezes:

(—) M. Dubowski

Sekretarz:

(—) Filipiński

„OSTATNIE DNI POMPEI”

W KINIE „ATLANTIC”
Jedyna chyba zaletą takich „gigantycznych” filmów, jak np. „Ostat-



nie dni Pompei” jest chyba to, że reklamy mogą się rozpięwać o fantastycznych kosztach wystawy, o dolarach wydanych na pseudohisteryczne kostiumy i na świątynię z papier maché.

Cecil de Mille majstruje swą wizję historyczną przesadną manjerą koturnową. Schoedsack zaś, reżyser „Ostatnich dni Pompei”, potraktował dzieje kataklizmu w Pompei, tak jak robi się pierwowzór w miarę sentymentalny i w miarę sensacyjny film amerykański.

Oczywiście gwoździłem programu ma być rozwalenie się tekturowych gmachów i posągów. Całość ma w sobie tyle wizji historycznej, ile poezji miało pokolorowane na czerwono „Piekło” Dantego w amerykańskiej wersji filmowej. Na uwagę zasługuje w tym filmie jedynie demonstracja postępu techniki filmowej w inscenizowaniu katastrofy trzęsienia ziemi. Schoedsack umie namowić mur, ażeby efektywnie runął w gruz.

Z. B.

NOCNY PATROL

W KINIE „PAN”

Tytuł wygrywa aluzję do „Bengali”, i do parodji „Bengali” zrobionej przez Filipa i Flapa. W istocie jest to zlepek filmów krótkometrażowych, połączonych w jeden program osobami wykonawców. Filip i Flap, w tej chwili bodaj, że jedyni, reprezentują najdawniejszy i najprymitywniejszy rodzaj humoru filmowego. Komicy filmowi już dawno przestali być wesółkami o roześmianych ustach od ucha do ucha, efekt wydobycia się kontrastem między poważnymi intencjami postępowania bohatera, a komycznym skutkiem, w którym bohater nie widzi komizmu — Filip i Flap gotowi jeszcze ciągle rzucać talerzami i komizem sytuacyjny zastępować gagami. Trzeba przyznać, że nieraz są szczerze zabawni, tym jednak razem „Nocny patrol” — nieczem nie zachęca widza.

Z. B.

Trzy samochody

wpadły na siebie

Przy zbiegu ul. Marszałka Focha, Senatorskiej i Daniłowiczowskiej, 55-letnia Rozalia Sawicka, bez pracy (Nowy Zjazd 7), chciała przejść na drugą stronę ulicy.

W tym momencie, od strony pl. Teatralnego najeżdżała taksów, a prowadzona przez St. Kubackiego (Gęsia 4) Ten, ażeby uniknąć wypadku, skręcił w bok, wskutek czego jadący za nim samochód prywatny prowadzony przez adw. Z. Kingsztajna (Zielna 52), musiał się zatrzymać. Na nagle zahamowane auto wpadła taksówka, prowadzona przez N. Rapaporta (Nowolipie 60).

Z radia

Szukając optymizmu

„Optymiści całej Polski, łączcie się!” Takie hasło padło na ostatniej pogadance radiowego biura studiów. Znamiennie signum temporis: widocznie fale pesymizmu szturmują także centralę Polskiego Radja, skoro z niej wychodzi taki „cri du coeur”...

Osobiście byłbym wolał, gdyby p. Eydziatowicz i tym razem dał nam jedną z konferencji na tematy radiofoniczne, których słucha się w ostatnich czasach z coraz większym zainteresowaniem. Kwestja optymizmu jest problemem mocno w naszych warunkach skomplikowanym i niewiadomo, czy się ją uda tak łatwo ruszyć z miejsca — choćby w ciągu tygodnia rzeczywistość napłynęła do Polskiego Radja ta setka listów, o którą stanął zakład. Optymizm bowiem stał się u nas liczmanem, dość silnie zgrzanym wskutek naluzywania. Trzeba by dopiero przedyskutować, co pod nim mamy rozumieć.

Ale właśnie dlatego inicjatywa jest słuszną i zdrową. Chodzi o pozytywny, czynny, twórczy stosunek do życia. Choćby nawet chłostając krytyczny — byle z niego przebiła energia, dająca wprzód. Z taką poprawką może i trzeba mówić o „optymizmie” radiowym. Natomiast rozminimy

się z celem, jeśli będziemy pod tem pojęciem rozumieli pryncypialnie chwalcstwo i samą tylko propagandę.

Ze zadaniem radia jest być czynnikami rozświetlającym nasze życie, wnoszącym w nie najlepsze walory, zwalczającym apatię i szarżyznę — to niejednokrotnie podnoszono na tem miejscu. Ale właśnie dlatego, że tu o wartości pozytywne chodzi, nie rozwiążemy rzeczy żadnym szablone.

Najlepiej będzie wyjaśnić sprawę przykładami.

Mamy w tej chwili wyraźną tendencję do wyzyskania radia na rzecz rządowej propagandy, zmierzającej do zaktywizowania gospodarczego społeczeństwa. Ale czy wszystkie, coraz liczniejsze, audycje z tego zakresu osiągały swój cel? W bardzo wielu wypadkach nie, bo nie są dostatecznie przeniknięte tą energią, z której tryska życie, otucha, wiara. W sensie dodatnim wyróżniają się pogadanki p. Rakowskiego: ostatnia na przykład („Budzet i instytucje”) była klasycznym przykładem, jak tego rodzaju odczyty na leży ujmować, a zwłaszcza jak je wygłaszać. Natomiast inne odczyty — suche, bez należytej dozy

temperamentu — przemijają bez echa.

O ile jednak na odcinku gospodarczym panuje ożywienie, to pogadanki o charakterze politycznym obniżają ostatnio swój poziom. Tak np. dzieła się na świecie rzeczy bardzo ciekawe, a korespondenci zagraniczni Polskiego Radja jakoś zamilkli.

Przejdźmy do innych dziedzin. Feljton p. Miernowskiego „Książka w dwóch miastach”, przeciwstawiający rozkwit czytelnictwa w Paryżu jego fatalnemu stanowi w stolicy Polski, był wybitnie krytyczny. A jednak sędzi po linii „optymizmu radiowego”, bo brzmiała z niego siła wewnętrzna przekonania, udzielało się słuchaczowi w sposób sugestywny i świadomie, że jednak tak, jak u nas jest, być nie powinno. A to już jest dobrze: bo oznacza ruch, zerwanie z martwością.

Sięgniemy do przeciwnego końca: z uroczystości poświęcenia tablic Karłowiczowskich w Warszawie nadano reportaż, który był okazem suchej bezdusznosci. Do brzoza, że uratował sytuację Poznania, uczciwszy rocznie śmierci wielkiego kompozytora piękną audycją „Mieczysław Karłowicz w Tatrach”.

Doskonałym przykładem, jak wyglądać powinien optymizm radiowy, jest studio lwowskie. Oprócz wesołej audycji niedzielnej („Szkółka Wesołej Fali”), tym razem znowu jednej z bardziej uda-

nych, mieliśmy doskonałe słuchowisko dla dzieci „Tomcio Paluch we Lwowie” ze Szczepkiem i Tonkiem, dalej z udziałem obu tych gwiazdów radiowych audycję z rozdawnictwa nart dla biednych dzieci lwowskich, a nadto dwie wesołe audycje muzyczne, z których jedna wprawdzie („Szept balowe”) na poziomie przeciętnym, ale druga („Nas dwóch i jeden smoking”) bardzo miła: czyż to, jak na jeden tydzień, nie jest prawdziwy rekord pozytywnej, owocnej aktywności radiowej?

Transmisje z Olimpiady — to znowu pewnego rodzaju mozaika. P. Trojanowski przeprowadził szereg reportaży, z których jeden lepszy od drugiego, a najlepsze chyba oba przedwczorajsze (mec Pol ska — Szwecja i bieg Kalbarczyka na 10 kilometrów). Z drugiej jednak strony mieliśmy na tejże Olimpiadzie eksperymenty zgola nieudane (reportaże ze slalomu i biegu narciarskiego na 16 km.). Poza „asem” naszego reportażu sportowego, stosunkowo jeszcze najlepiej wypadły transmisje p. Mikuly, który stopniowo swoją klasę reporterską poprawia. Niemniej jednak nasuwa się refleksja: dlaczego, jeśli to nie jest konieczne (spowodu kolizji dwóch równoczesnych imprez), dawać słuchaczom reportaże mniej lub bardziej drugorzędne, byle tylko zaspokoić pewne indywidualne ambicje?

W cyklu dyskusyjnym znowu jedna prelekcja udała: „Urok na-

szej prowincji” (a raczej „Nieuroki” miasta) p. St. Sumińskiego. Była to impresjonująca propaganda, tylko że, jak każda propaganda — jednostronna. Trzeba by przedstawić drugą stronę medalu, a zwłaszcza nieznosną uzależnienie ludzi na prowincji od miejscowych kacyków i etatyzowanie całego życia społecznego — dopiero wtedy byłby obraz pełny i byłby temat do rozważań, jak to zło poprawić.

Z powtórzonej dyskusji „Młodzież mówi o sobie” przekonaliśmy się, że za pierwszym razem na dano nam audycję defektywną — bez repliki referentki. Teraz, gdy dyskusja była całkowita, wystąpiła ona w o wiele lepszym świetle, niż poprzednio. Ale czemu to za pierwszym razem nie zawiadomiono słuchaczy, że transmisja jest urwana, tylko pozbity ich stereotypową formułą „Nadaliśmy państwu itd.”? Tak robi tylko niesumienny kupiec, który wytka klientowi wybrakowany towar, licząc na to, że się klient... nie zorientuje.

Na wzmiankę pochlebną zastępuję jeszcze literacki wieczór morski, — interesująca i dobrze zmontowana (bodaj najlepiej ze wszystkich dotychczasowych) dyskusja w trójkę, wznowienie przez Wilno skeczu „List” według Kraszewskiego, zaznajomienie nas przez Kraków z „Czarną damą” Shaw’a, odczyt p. Chajfec’a o regeneracji u zwierząt i reportaż z krakowskiego obserwatorium astronomicznego.

Autorki nasze mają widać predylekcję do tematów o zakroju problemowym, bo i słuchowisko p. Krystyny Grzybowskiej „Skrzydła”, nadane przez Kraków, sięgnęło głęboko w tym kierunku — w kwestję macierzyństwa i jego praw. Ale fabuła, mająca ten problem ilustrować, zbyt prymitywna i zbyt szkieletowo traktowane kontury psychologiczne obu matek. Przytem zaś p. Jaroszeńska jako lotniczka była tak twarda, jakobieca, wręcz antypatyczna głosowo — że cały efekt antytezy dwóch typów został przeciągnięty i spalił na panewce.

Z audycji muzycznych wspomnijmy o wspaniałym Bachu i Scarlattim w interpretacji pianisty belgijskiego Maas’a. Kwarteto w kobiecemu, zademonstrowanemu we wtorek w cyklu „Cała Polska śpiewa”, brakło harmonizowania głosów: sopran wyłamował się jaskrawym brzmieniem z całości.

Zeszlondzieliśmy aż dwugodzinny koncert radiowy w Bristolu, nasuwa poważne zastrzeżenia: za dużo było tego dobrego, zwłaszcza, że straciłami przez to słuchowisko. Trzeba wybierać: albo koncerty na mieście, albo transmisje dla słuchaczy — a jeśli to drugie, to nie zanudzać ludzi aż tak obfita porcją muzycznego bisosu. Było to dobre raz jeden, a Sylwestra, ale przeziwko wprowadzaniu takich audycji jako częstszych, trzeba stanowczo zaprzestować.

Marjan Grzegorzczak